

# Janina Kruszewska

---

## Ze wspomnień adwokata-radcy prawnego

---

Palestra 29/6(330), 63-71

---

1985

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

czać — prawo rzymskie w stosunku do sędzięo zachowuje w pewnym stopniu również „stanowisko suflera”<sup>24</sup>

Trzeba przeto uznać — mimo postulatów humanizacji procesu cywilnego, polegającej m.in. na ułatwieniu stronie nieporadnej dochodzenia roszczeń przez zapewnienie jej równości faktycznej, a nie tylko formalnej<sup>25</sup> — że łacina w zakresie wyżej podanym ma prawo obywatelstwa w polskim postępowaniu cywilnym. W przekonaniu tym utwierdza mnie bardzo częste występowanie łaciny w polskiej literaturze prawniczej, w tym również w podręcznikach uniwersyteckich, utwierdzają w tym także związki kultury polskiej z kulturą łacińską.

Paremie i zwroty łacińskie nie są przedmiotem prawa autorskiego, toteż można je przytaczać bez cudzysłowu i bez wymienienia źródła. W czasopiśmie i książkach słowa łacińskie są drukowane przeważnie kursywą. Czcionek takich nie mają jednak maszyny do pisania, z jakich korzystają adwokaci. Powinni więc oni pisać słowa łacińskie tak, jak cały tekst pisma procesowego, a więc bez używania cudzysłowu.

<sup>24</sup> Cytat pochodzi z artykułu H. Kupiszewskiego: Znaczenie prawa rzymskiego dla współczesności, PIP 1981, nr 8, s. 70.

<sup>25</sup> E. Wengerek: Dostępność procesu cywilnego w krajach socjalistycznych, Pał. 1977, nr 11, s. 5 i n.

## 2.

JANINA KRUSZEWSKA

### ZE WSPOMNIENIĘ ADWOKATA-RADCY PRAWNEGO

*Artykuł adw. A. Stępowskiego, ogłoszony pod tym samym tytułem w 1984 r. w nrze 11 „Palestry”, wzbudził we mnie szereg wspomnień z długiego okresu wykonywania przeze mnie zawodu adwokata w obsłudze prawnej jednostek gospodarki uspołecznionej, co, być może, warte jest przekazania w naszym miesięczniku.*

Wprawdzie adwokat A. Stępowski życzył sobie, aby ktoś z młodszego raczej pokolenia zabrał głos na temat obecnych warunków pracy radcy prawnego w związku z obecnie obowiązującym stanem prawnym, jednakże, choć do młodszego pokolenia radców prawnych nie należę, pragnę mimo to zgłosić kilka uwag na poruszony temat wykonywania obsługi prawnej.

Wykonuję czynności radcy prawnego od marca 1945 r. do chwili obecnej *non stop*, a więc przez lat czterdzieści. Patrząc z tej retrospektywy na zawód adwokata wykonywany również w charakterze radcy prawnego w strukturze organizacyjnej jednostek gospodarki uspołecznionej, mogę przy okazji odpowiedzieć na pytanie autora, czy i jakie zaszły zmiany w wykonywaniu tych obowiązków.

Obowiązki radcy prawnego, ich zakres, sposób ich wykonywania, warunki pracy — to bardzo szeroki temat. Można by napisać w związku z tym opasły tom, ciekawy — jak sądzę — przyczynek do dziejów gospodarki narodowej z okresu pierwszego czterdziestolecia naszej państwowości, powstającej z gruzów i popio-

łów drugiej wojny światowej po zwycięskim wyparciu hitlerowskich najeźdźców i zbrodniarzy.

Jest zima 1945 r. Łódź — to obce dla mnie miasto. Znalazłam się tu przypadkowo, z wędrowki po świecie. Miasto w czasach wojny wprost niewiarygodne. Po obydwu stronach b. długiej ulicy stoją domy nie naruszone. Podobno kohorty *Herrenvolku* uciekały w popłochu i nie zdążyły dokonać dzieła zniszczenia do końca. Podobno furia teutońska zrównała z ziemią dzielnicę getta i spaliła żywcem ludzi w Radogoszczu. Mam w oczach ruiny i pożary Warszawy i czuję dymu rozkładającego się pogorzelska. Jestem obojętna na wszystko inne.

Tu po ulicach chodzą ludzie, a wśród nich spotykam kolegę. Uczucie nieskończonej ulgi: odnalazł się ktoś z dawnego życia! Podobno są tu warszawiacy, miejsce ich spotkań — cukiernia „Ziemiańska”. Wydaje mi się niestosowne, aby w takim nastroju wybierać się do cukierni, ale przestaję na razie myśleć. Idziemy więc.

Kolega już zdążył zdobyć pracę. Jest radcą prawnym w Urzędzie Likwidacyjnym. Proponuje, abym poszła z nim do tego urzędu, „dają” tam zupełną — co najważniejsze — można też tam dostać pracę. Ten urząd zabezpiecza majątki opuszczone i porzucone. Mnóstwo roboty. Potrzebni na gwałt prawnicy.

Nie mam, niestety, żadnych dowodów stwierdzających moją tożsamość, a przeciw dowodem bytu człowieka jest paszport. Okazuje się, że istnieje w mieście coś w rodzaju delegatury rady adwokackiej i że można się tam zweryfikować. Myślę jednocześnie o tym, że już wkrótce zapadnie zmrok i że jest coraz mroźniej.

Pytam kolegę przede wszystkim o to, czy prawdą jest, że nie ma już tu Niemców i jesteśmy wśród swoich. Kolega powiada, że wielu „Niemców wojskowych już wywiało”, że uciekli w popłochu, ale zostało jeszcze dużo reichsdeutschów i volksdeutschów. Pytam, kim oni są i czy są niebezpieczni. Zdawałoby się, niedorzeczne trochę pytanie. Kolega informuje, że to są obywatele polscy, którzy podczas okupacji przypomnieli sobie, że są Niemcami, i dzięki temu świetnie przeżyli okres okupacji. Obecnie nie są już oczywiście niebezpieczni.

Powtarzam z zadowoleniem: a więc jesteśmy wśród swoich, to wielkie szczęście.

Kolega pyta, czy mam kwaterę. Odpowiadam, że nie mam i nie wiem, czy warto tu pozostać. Radzi, aby na razie pomyśleć o kwaterze i o noclegu.

Szybko się sprawdza, że jestem istotnie wśród swoich; otrzymuję pokój wchodzący w skład dużego opuszczonego mieszkania, które jest już częściowo zaludnione. Do wspólnego gospodarstwa wnoszę cały mój b. skromny dobytek: pół chleba, trochę herbaty i cukru. Przyjęte jest to z radością.

W piwnicach jest węgiel, wszyscy palą w piecach i gotują, dostają gorącą kartoflaną. Nastrój domowy i przytulny. Do późnej nocy rozmowy, plany, rady, niepokoje i nadzieje — jak w rodzinie.

Wczesnym rankiem biegnę z mocno bijącym sercem do owego Urzędu Likwidacyjnego. Urząd zawsze wzbudzał mój niepokój, a coś dopiero teraz, gdy pierwszy raz w życiu poszukuję pracy.

Idę wraz z kolegą do dyrektora tego urzędu. Weryfikacja odbywa się w formie uproszczonej. Kolega składa oświadczenie dotyczące moich personaliów i po paru minutach otrzymuję tymczasowe zaświadczenie, że jestem adwokatem. Odzyskuję więc tożsamość.

Siedzę za dużym stołem zasypanym luźno leżącymi kartkami papieru. Mam to uporządkować i „nadać temu bieg”. To polecenie wydaje mi się niepokojące. Nie mam żadnych przyborów do pisania. Zaczynam więc czytać. Wkrótce dochodzę do wniosku, że wszystkie te sprawy są do pewnego stopnia jednakowe, po prostu

ludzie domagają się przywrócenia im majątków zagrabionych przez Niemców. Są to różnego rodzaju sprzęty gospodarstwa domowego, różnego rodzaju maszyny, zakłady rzemieślnicze, fabryki i nieruchomości. Rzecz jednak w tym, że ja nie wiem, w jaki sposób nadać tym sprawom bieg. Wreszcie przychodzi kolega — mój protektor. Idziemy na obiad i tam otrzymuję od kolegów trochę niezbędnych informacji.

Początki były trudne: olbrzymi napływ podań i żądań niesłychanie napastliwych i nie popartych żadnymi dowodami. Cała ta masa płynęła jak burzliwa rzeka. Prawo do własnego majątku, żądanie przywrócenia utraconego posiadania — wszystko to *prima facie* wydawało się zrozumiałe, wymagało jednak konkretnych dowodów, których z reguły było brak. Wydawało się jednak, że brak dowodów po tej straszliwej wojnie, która wstrząsnęła światem i wyrzuciła ludzi z ich domów pozbawiając ich wszelkiego dobytku, jest całkowicie zrozumiałe. Ale wbrew tym oczywistościom trzeba było tłumaczyć i powtarzać petentom, że ich żądania bez dowodów są nieuzasadnione.

Wśród tych żalonych petentów, którzy pragnęli przekształcić radców prawnych urzędu w swoich pełnomocników, wyczuwało się już wtedy niebezpiecznych kombinatorów, którzy pragnęli w tej mętnej fali złowić ponętną dla siebie zdobycz. Starałam się trzymać z dala od tych przetargów.

Pewnego dnia zostaliśmy wezwani przed oblicze niewidzialnego dotychczas dyrektora urzędu. Okazało się wtedy, że jest już kilku radców prawnych. Przydzielono nam duży, pusty pokój, zaczęliśmy się urządzać. Znieśliśmy jakieś rekwizyty mebli z różnych pięter, zgromadziliśmy trochę opału i poczuliśmy się u siebie i wśród swoich.

Zdobycie papieru i przyborów do pisania stało się sprawą pierwszoplanową, ale trudną do osiągnięcia. Nagle, nie wiadomo skąd, znalazły się maszyny do pisania — niestety z alfabetem niemieckim. Nauczyliśmy się wkrótce stawiać przecinki pod literami a, e oraz kropkę nad literą o, z, tak że pismo stawało się czytelne. Dostaliśmy papier i spinacze, kartki przestały fruwać, a nasze biuro prawne stawało się z każdym dniem coraz bardziej funkcjonalne. Odzyskiwaliśmy grunt pod nogami i inicjatywę, które pozwalały nam na jakieś skuteczne działania i ujęcie żywiołowo płynącej rzeki wszelkiego rodzaju żądań w określone koryto. I w ten sposób zaczynaliśmy „nadawać bieg” sprawom, goniąc wraz z nimi do określonego celu.

Pojawiło się wtedy nowe słowo „reprzywatyzacja”, mające szczególne znaczenie w państwie, którego ustrój z kapitalistycznego ulegał systemowym przekształceniom w socjalistyczny. Pojawiło się także określenie „nacionalizacja”. Majątki polniemieckie, wielki przemysł, kopalnie, środki transportu, wielkie gospodarstwa rolne przeszły na własność państwa jako mienie ogólnonarodowe. Obok więc nacionalizacji mieliśmy do czynienia z reprzywatyzacją mienia opuszczonego przez obywateli polskich, jako ich mienia osobistego, do którego zaliczone zostały również mniejsze zakłady przemysłowe i handlowe. Sytuacje w tej dziedzinie były dość skomplikowane, bo Niemcy zlikwidowali mniejsze zakłady przemysłowe i skomasowali z większymi.

Z czasem robotnicy ruszyli do fabryk i niemal każdego dnia nowe życie wlewało się — niby strumieniem — do miasta.

Ustawa o majątkach opuszczonych i porzuconych ustanowiła zasady i tryb reprzywatyzacji mienia przez sądy. Sprawy w przyspieszonym tempie wpływały do sądów. Każdego dnia widniały w sądach olbrzymie wokandy spraw o reprzywatyzację. Sprawy zwykle pracochłonne, dowody — przeważnie ze świadków,

po 20—30 spraw każdego dnia do rozpoznania. Po skończonej sesji sędzia i radca prawny składają sobie podziękowanie i wyrażają zadowolenie, jeśli przed godziną 16 kończy się taka wyczerpująca sesja.

Pracowałam w tym urzędzie dwa lata. Napływ spraw stopniowo się zmniejszał. Zaczynam szukać dodatkowego radcostwa i szybko znajduję. Jest to biuro przynależne do dużej centrali włókienniczej. Trzeba to biuro zorganizować. Dyrektor jest osobą zupełnie bezradną, usiłuje jednak przekonać paru pracowników, że jest dyrektorem. W chwilach gdy nawiedzają go złe myśli, odwołuje się do pomocy radcy prawnego i poleca mu wykonanie różnego rodzaju czynności, z którymi sam nie umie sobie poradzić.

Niekiedy dyrektor ów usiłuje sprawdzić, co ja robię, co będę robiła i co już zrobiłam. Podsuwam jakąś kartkę papieru i proponuję, aby przeczytał, jednakże zazwyczaj nie ma na to ochoty, odchodzi więc zniechęcony, by rozpocząć indagację w innym miejscu.

Orientuję się, że trzeba stąd szybko uciekać. Zaczynam odwiedzać centralę, do której biuro przynależy, a przede wszystkim kolegów radców. Proponuję im swoją pomoc, co zostaje przyjęte z zadowoleniem. Nawiązuję kontakt z dyrekcją, wysuwam różne propozycje pod adresem uaktywnienia biura. Wkrótce zostaję radcą prawnym centrali i mam wokół siebie autentycznych kolegów radców prawnych. Pozostaję w tej centrali radcą prawnym przez lat 20 do czasu jej likwidacji.

Jestem więc radcą z prawdziwego zdarzenia i zaczynam kontynuować przerwana w latach okupacji praktykę adwokacką. Mam sprawy, które mi szczególnie odpowiadają. W Łodzi urzęduje w tych czasach — jak wiadomo — Sąd Najwyższy. Koledzy z różnych stron przysyłają mi sprawy. Przyjemna praktyka, mało klientów, a sprawy dobrze przygotowane do obrony.

Wracam do tematu, który mieści się w ramach: dyrektor i radca prawny oraz *vice versa*. Ten układ stosunków w tych ramach, a także częściowo poza nimi, decyduje o klimacie sprzyjającym lub nie sprzyjającym radcy prawnemu. Przed wyciągnięciem jakichkolwiek wniosków ogólnych trzeba przedstawić osoby dyrektorów i różne sytuacje, ponieważ o pracy decydują ludzie i wzajemne między ludźmi stosunki, i to nawet wówczas, gdy ich działania zamknięte są w określonych komórkach organizacyjnych i w różnych zakresach czynności.

Muszę przyznać, że czterostronicowy zakres czynności, jakim zostałam obdarzona na wstępie mojej pracy w wymienionej wyżej centrali, przyjąłam z obawą. Nigdy dotąd nie pracowałam w określonym zakresie czynności; zakres ten wyznaczał dotychczas mój zawód. Poza przysięgą adwokacką w tym uroczystym dla mnie dniu nie przyrzekałam nikomu, co będę robić i jak będę pracować. Te cztery kartki — zaciążyły mi. Do dnia dzisiejszego nie pozbyłam się wyraźnej awersji do wszelkiego rodzaju zakresów czynności, które musiałam niejednokrotnie podpisywać.

Dyrektorów, z którymi współpracowałam, można by z grubsza, bez subtelnych dyferencjacji, podzielić na dwie kategorie: uroczyście celebryjących swą dyrektorską godność i wielce zarozumiałych albo zwykłych ludzi, którzy zostali nagle wyniesieni na to stanowisko i nie bardzo wiedzą, co mają robić.

I jedni, i drudzy potrafili być mocno uciążliwi: pierwsi — mający nie uzasadnione i irracjonalne żądania, które apodyktycznie przekazywali z wysokości, drudzy — wymagający ustawicznej pomocy w sprawach wykraczających poza granice wszelkiego rodzaju zakresów czynności radcy prawnego.

Rekomendacja, o której wspomina A. Stępowski, aby radca prawny wychowywał dyrektorów, nie odpowiadała mi nigdy. Natomiast starałam się zrozumieć mentalność tych dyrektorów, ich charakter i ambicje. Nie było to trudne zadanie,

ponieważ brak powściągliwości wyzwała cechy osobowości w sposób oczywisty.

Wszelkiego rodzaju polecenia przyjmowałam oczywiście do wiadomości, jednakże nie zawsze... do wykonania. Zgłaszałam często propozycje innego załatwienia albo przez kogo innego, przedstawiając korzyści z tego wynikające zgodnie z moim przekonaniem. Kiedy zaś sytuacja była groźna, a otrzymane polecenie w moim przekonaniu było nieuzasadnione, pisałam opinię. Okazywało się to zazwyczaj skuteczne.

Trzeba przyznać, że dyrektorzy — bez względu na kategorie, do których można by ich zaliczyć — opinie na piśmie wielce respektowali. Działy one jak lakmusewy papierek, zmieniały często błyskawicznie sytuacje ku zadowoleniu obu stron, tj. dyrektora i radcy prawnego.

W mojej długiej praktyce zdarzyło się tylko jeden raz zawarcie umowy o dość znacznej wartości wbrew mojej opinii. Po upływie roku, w toku kontroli wewnętrznej, umowa ta została zakwestionowana, a dyrektor rozstał się ze swoim stanowiskiem.

Rozegrała się też pewnego dnia wielka awantura, wystąpiło minutowe groźne spięcie. Dyrektor podniesionym głosem wyraził swoje niezadowolenie z powodu mojej nieobecności „przy biurku”. Czekał, jak twierdził, na mnie godzinę i domagał się odpowiedzi, gdzie byłam. Odpowiedziałam, że staram się być zawsze punktualna, gdy się ze mną umawia, a od jutra powinien się postarać o innego radcę prawnego, który będzie stale siedział „przy biurku”.

I tak — mimo przeprosin — rozstaliśmy się, zapewne ku obopólnemu zadowoleniu. Władza najwyraźniej uderza do głowy i daje zadowolenie.

Dyrektorzy zagubieni w obszarach swojej władzy pragnęli natomiast, aby radca prawny stale im towarzyszył na warunkach partnerskich we wszystkich sprawach i wszędzie, aby odpowiadał na wszystkie pytania niezwłocznie, brał udział w protokołach inwentaryzacyjnych i reklamacyjnych na rampie kolejowej i w magazynach, u dostawców i u odbiorców, w licytacjach i w naradach ciągnących się od rana do nocy na tematy bliżej nie określone, a przede wszystkim aby „wystosowywał” pisma. O ile było to możliwe i nie naruszało uprawnień moich jako radcy prawnego, starałam się ze względów czysto ludzkich dopomóc tym zagubionym ludziom, pełnym zresztą dobrych chęci.

Kult słowa pisanego był ogromny. Toteż jeden z moich dyrektorów mający ambicję, aby praca była „na wysokim poziomie”, poziom ten łączył ze słowem pisanym. Niemal każdego dnia ukazywały się jakieś zarządzenia, wytyczne, pisma okólne albo okólniki, wyjaśnienia, zakres czynności i różnego rodzaju wzory pism. Istna drukarnia w formie powielaczowej. Na biurkach piętrzyły się stosy pism do wewnętrznego użytku, które — jak sędzę — odzwyczały od normalnego myślenia i pisania.

Propozycja napisania przeze mnie instrukcji dla palaczy została odrzucona kategorycznie z wyjaśnieniem, że wykracza to poza moje obowiązki, a także umiejętności.

Byli też tacy dyrektorzy, którzy przejmowali się niesłuchanie sprawami przegranyymi w sądzie lub w arbitrażu. Muszę przyznać lojalnie, że nie przypisywali w tym winy radcy prawnemu, natomiast przypisywali winę organom rozstrzygającym spór, które nie znają realiów i kierują się tylko prawem. Być może, mieli częściowo rację. Trudno było im wytłumaczyć, że sąd orzeka zgodnie z prawem według swobodnej oceny dowodów.

Gdyby ten długi okres mojej pracy radcowskiej podzieliło się na dekady, to można by stwierdzić, że już w pierwszej dekadzie organizację przedsiębiorstw pań-

stwowych i podstawowe zasady ich działalności tworzyli i wprowadzali w życie — obok dyrektorów — radcowie prawni. Ponadto radcowie prawni inicjowali precedensy, które stały się potem źródłem wielu aktów prawnych i orzecznictwa. Przyczyniali się oni do tworzenia nowej gałęzi prawa, tzw. gospodarczego, które kształtowało się pod kątem priorytetu jednostek gospodarki uspołecznionej, zwłaszcza przedsiębiorstw państwowych, będących głównym filarem gospodarki narodowej.

Dlatego w tym okresie *in statu nascendi* gospodarki narodowej i tworzenia prawa podział między funkcjami dyrektora a funkcjami radcy prawnego zgoła nie istniał lub był tylko lekko zarysowany. Nikt nie miał doświadczeń adekwatnych do aktualnych stosunków społeczno-gospodarczych i dlatego trzeba było sobie jakoś wspólnie radzić. Dla wszystkich było to trudne i uciążliwe, toteż wielkim wydarzeniem stała się wtedy ustawa o przedsiębiorstwach państwowych z 1950 r.

Natomiast w drugiej dekadzie ukazały się już akty prawne określające prawa i obowiązki radców prawnych, a zakresy czynności wręczane radcom prawnym przez zatrudniające ich zakłady pracy zostały odpowiednio uściślone, zwłaszcza w większych jednostkach organizacyjnych.

Stanowisko radcy prawnego znalazło się w załącznikach do układów zbiorowych pracy, wynagrodzenie zaś miało być kształtowane odpowiednio do wynagrodzenia pobieranego przez kierownika działu ekonomicznego. Było to nierealne, ponieważ w wielu jednostkach organizacyjnych takiego działu w ogóle nie było, a ponadto przepis ten częstokroć nie był realizowany. Radca prawny w przedsiębiorstwach państwowych był podporządkowany organizacyjnie naczelnikowi wydziału organizacyjnego lub prawno-organizacyjnego, który z reguły nie miał wyższego wykształcenia, natomiast miał prawo wydawania radcom prawnym poleceń z racji swojego stanowiska. Nie był to zatem złoty wiek radców prawnych pod żadnym względem i taki stan rzeczy trwał przez drugą i trzecią dekadę — z pewnymi tylko wyjątkami w niektórych jednostkach organizacyjnych.

Właśnie w tym długim okresie ewidentna stała się prawda znana powszechnie, że w każdym zawodzie o wszystkim decyduje człowiek, a nie zawód lub taki czy inny zakres czynności albo takie czy inne podporządkowanie.

Dlatego też ci radcowie prawni, zahartowani w bojach o prawo i praworządność, którzy reprezentowali swoją osobowością wartości ugruntowane przez wykształcenie i określony stosunek do pracy i współpracowników oraz organizacji społecznych działających na terenie zakładu pracy, słowem — to wszystko, co składa się na kulturę osobistą i zewnętrzną, byli oceniani odpowiednio do zajmowanego stanowiska.

Od pierwszej chwili mojej pracy w tym właśnie charakterze radcy prawnego w kolektywie mocno zróżnicowanym i często trudnym do rozszyfrowania pod względem wartości moralnych i społecznych oraz kwalifikacji zawodowych wy-czuwałem instynktownie, że radca prawny powinien swoje kontakty z dyrektorem ograniczyć do tego minimum, jakie jest niezbędne do spełniania tych złożonych czynności związanych z wykonywaniem funkcji radcy prawnego.

Określenie „radca dyrektora”, często używane z zamiarem podniesienia rangi radcy prawnego, jest — moim zdaniem — określeniem pejoratywnym. Radca prawny bowiem, będąc pracownikiem zakładu pracy, jest członkiem jego załogi, z podporządkowania zaś organizacyjnego dyrektorowi tego zakładu bynajmniej nie wynika, aby „przynależał” on do tego dyrektora. Ponadto wykonywanie przez radcę prawnego poleceń dyrektora w najmniejszym stopniu nie narusza stanowiska, jakie zajmuje on w opinii prawnej. Z tego względu „przynależność” radcy praw-

nego do dyrektora w znaczeniu określanym jako jego *alter ego* uważam wręcz za szkodliwe, bo godzące w obiektywizm radcy prawnego jako reprezentanta porządku prawnego oraz interesu prawnego zatrudniającego zakładu pracy.

Zródłem autorytetu powinna być — jak sędzę — osoba, a nie stanowisko, jakie ona zajmuje. Autorytet to zaufanie, jakie w innych osobach wzbudzać powinny kwalifikacje zawodowe i moralne danej osoby, które stanowią rękojmię niezawisłości, obiektywizmu i respektowania zasad współżycia społecznego. Radca prawny, który nie zdobędzie takiego właśnie autorytetu, nie zdobędzie również zaufania załogi i jej samorządnych organów, mającego istotne znaczenie dla skutecznej działalności radcy prawnego.

W trzeciej dekadzie gospodarki narodowej, a częściowo jeszcze w drugiej, nastąpiły korzystne zmiany w działalności przedsiębiorstw państwowych, związane w znacznym stopniu z podniesieniem kwalifikacji zawodowych osób powoływanych na stanowiska kierownicze. Ukazały się przy tym podstawowe akty prawne, które wykazywały pewną stabilność, chociaż nie zahamowały one całkowicie rozpedzonej maszyny prawa powielaczowego. Ten gąszcz przepisów, z reguły niejednorodnych w swoich założeniach i niecisłych pod względem sformułowań, wymagał specjalistów zdolnych do interpretacji, a wśród nich radców prawnych.

Wykształcenie odzyskiwało swój należny walor, a doksztalcanie kadr na różnego rodzaju kursokonferencjach, intensywnie prowadzone, dawało stopniowo rezultaty. Wraz z wykształceniem podniosła się kultura pracy i współpracy. Było to wyraźnie odczuwalne. Dyrektorzy zaczęli doceniać radców prawnych, a zwłaszcza adwokatów-radców prawnych, i respektować ich opinie. W schemacie organizacyjnym większych jednostek gospodarczych radca prawny znalazł się bezpośrednio w pionie dyrektora.

W końcu drugiej dekady można było wyróżnić dwie inne od poprzednich kategorie dyrektorów. Pierwsza z nich to dyrektorzy obeznani z problematyką gospodarczą i ze stosunkami społecznymi, a druga to dyrektorzy, którzy nie zdołali jeszcze podwyższyć swoich kwalifikacji, ale mieli zapewne inne kwalifikacje odpowiadające tzw. nomenklaturze stanowisk kierowniczych (starali się oni przy tym nie ujawniać mankamentów swojego wykształcenia). I jedni, i drudzy szukali stałego kontaktu z radcami prawnymi. Wynikały stąd różne imponderabilia. Trzeba było szukać jakiegoś *modus vivendi*, żeby zmieścić się w czasie. Metoda „odsyłania do kolegi”, stosowana z powodzeniem w gastronomii, nie wchodziła w grę. Przy dobrej woli obu stron wykonywanie różnorodnych czynności w siedzibie zakładu pracy i poza nim było wprawdzie trudne, ale możliwe. Rozliczanie się z tzw. wymiaru czasu pracy w tych warunkach było irytującym nonsensem. Dyrektorzy obdarzeni inteligencją zrozumieli to zaraz, inni natomiast pozostali na swoich biurokratycznych, dyktatorskich pozycjach ze szkodą dla obu stron. Pomimo jednak tej narastającej pracy, często w trudnych warunkach, bez pomocy biurowej i podręcznej biblioteki, dawała ona zadowolenie, jeżeli odbywała się w klimacie zaufania i dobrej woli.

Akty prawne o obsłudze prawnej ogłoszone w latach sześćdziesiątych zweryfikowały do pewnego stopnia *modus vivendi* ukształtowany w praktyce i ustanowiły podstawę uzasadniającą żądania radców prawnych do określenia ich statusu zgodnie z prawem. W mniejszych jednostkach gospodarczych szło to opornie i niektórzy dyrektorzy dowiadywali się nie bez zdziwienia, że to nie oni, lecz akty prawne określają prawa i obowiązki radców prawnych.

Czwarta dekada — a może już połowa trzeciej — sygnalizowała pewne osiągnięcia w wewnętrznym porządku prawnym i funkcjonowaniu przedsiębiorstw pań-



stwowych. Stanowiska kierownicze (nie tylko dyrektorskie) zajmowali już ludzie wykształceni w szkołach wyższych oraz z dłuższym stażem pracy na różnych stanowiskach w gospodarce społecznej. Życie w dzungli złych obyczajów i niekompetencji, nie sprzyjające ani pracy, ani dobrej kondycji, ulegało ewidentnym zmianom dzięki edukacji i selekcji.

Niektórzy ze znanych mi dyrektorów mieli wszystkie cechy dodatnie menadżerów. Niejednokrotnie w trudnych dla nich sytuacjach podziwiałam ich zdolności i umiejętności taktyczne, opanowaną metodę zarządzania, działania wzbudzające zaufanie, warunki uczciwej gry, dającej w zamian istotny walor w postaci kredytu zaufania.

Czwarta dekada przyniosła — jak wiadomo — uchwalenie podstawowego aktu prawnego, tj. ustawę z dnia 6 czerwca 1981 r. o radcach prawnych, określającą status radcy prawnego oraz akty wykonawcze na jej podstawie wydane.

W tym miejscu wypada wrócić do pytania postawionego przez A. Stępowskiego we wspomnianym artykule: jak dalece akty te polepszyły warunki pracy radców prawnych? Otóż ustawa o radcach prawnych — podobnie jak inne podstawowe regulacje prawne — stanowi nadbudowę bazy materialnej stosunków społeczno-gospodarczych. Wyrastając z tej bazy i służąc jej, regulacja prawna następuje z pewnym opóźnieniem. W świetle tej tezy — nie kwestionowanej w ustroju socjalistycznego państwa — ustawa o radcach prawnych zweryfikowała szereg ususów wykształconych w praktyce, a ponadto zrealizowała dezyderaty środowiska radców prawnych w znacznym stopniu, ustanawiając samorząd oraz immunitet zawodowy na wzór ustawy o adwokaturze.

Samorząd — to niewątpliwie wielkie osiągnięcie. Oznacza to niezawisłość liczącego ponad dziesięć tysięcy członków środowiska od organów administracji państwowej w ramach określonych przez tę ustawę. Za wcześniej zapewne na to, aby oceniać, jak dalece samorząd ten będzie realizowany i jakie przyniesie wymierne wartości.

Nie można nie doceniać immunitetu zawodowego, który zapobiega postponowaniu radców prawnych występujących na zewnątrz jednostki zatrudniającej ich w charakterze pełnomocników. Nie można — dalej — nie doceniać ustanowienia wpisu konstytucyjnego na listę radców prawnych, trwale określającego status radcy prawnego bez względu na wykonywanie tego zawodu. Nie można także nie doceniać wzmocnionej ochrony stosunku pracy przez nałożenie na kierowników zakładów pracy obowiązku zasięgnięcia opinii radcy okręgowej izby radców prawnych w razie zamierzonego rozwiązania umowy o pracę z radcą prawnym, a zwłaszcza przez ograniczenie swobody oceny pracy radcy prawnego przez dyrektora i ustanowienie obowiązku uprzedniego zasięgnięcia przez niego opinii radcy prawnego wskazanego przez radę okręgowej izby.

Doceniając w pełni to określenie statusu radcy prawnego i nie negując formalnego umocnienia pozycji radcy prawnego w jednostce organizacyjnej, nie mogę jednocześnie stwierdzić, żeby nastąpiły w praktyce jakieś istotne zmiany zarówno w zakresie obowiązków radców prawnych jak i warunków ich pracy. Decyduje, tak jak poprzednio, wzajemny partnerski układ między dyrektorem a radcą prawnym, nacechowany przede wszystkim dobrą wolą, i to w każdej sytuacji: na co dzień i od święta. Inflacja aktów prawnych i inne perturbacje wymagają wzajemnego wsparcia.

O ile mi wiadomo, radcowie prawni zatrudnieni w mniejszych jednostkach gospodarczych, zwłaszcza w urzędach gminnych i spółdzielniach w małych miejscowościach, pracują nadal niezmiennie w bardzo trudnych warunkach organiza-

cyjnych. Życzę więc tym moim kolegom, aby ustawa o radcach prawnych wzmocniła ich pozycję i polepszyła pod każdym względem warunki ich pracy, z natury rzeczy ciężkie.

Konkludując mogę stwierdzić, że w ciągu długiego okresu mojej pracy nauczyłam się wiele, i to nie tylko przez poznanie nowej gałęzi prawa, tj. prawa gospodarczego, ale również na tle współpracy z różnymi ludźmi, w różnych kolektywach i rozmaitych konfiguracjach. Wiedza bowiem o ludziach wzbogaca wiedzę o prawie.

## **MIĘDZY NAMI**

JERZY KLEWIN

### **KRAJOBRAZ PRZED...**

W nrze 9 „Palestry” z ub. roku w rubryce „Między nami” mecenas Henryk Nowogródzki w artykule pt. „Krajobraz po...” wraca ponownie do legendarnego już art. 19 ust. 1 pkt 3 prawa o adwokaturze. Boleje w nim — i słusznie — nad konsekwencjami powziętej decyzji legislacyjnej, która ograniczyła prawo wykonywania praktyki adwokackiej w zespołach z chwilą ukończenia przez adwokata 70 lat.

Pod znaczną częścią wywodów podpisuję się obiema rękami i nie mam zamiaru ponownie wracać do przytoczonych przez autora — powszechnie zresztą znanych — argumentów, wykazujących bądź niedostateczne przemyślenie przez ustawodawcę omawianego problemu, bądź też, że mimo ich słuszności wprowadzono te zmiany, kierując się zupełnie innymi przesłankami, np. chęcią wyeliminowania tych „przedwojennych” adwokatów, których sposób bycia, myślenia i przemawiania nosi piętno innych czasów, nie pasujących do rzeczywistości dzisiejszej. Przyszłość to wykaże. Zwłaszcza gdyby w niedalekim czasie krytykowany przepis został uchylony.

Jeśli jednak mimo generalnej akceptacji artykułu chwyciłem za pióro, to tylko dlatego, że właśnie w myśl zasady możliwie pełnego obiektywizmu zarzucam autorowi, iż w pewnej części swoich wywodów chyba nie ma racji. Otóż mec. Nowogródzki wysuwa tezę, że odejście znacznej grupy adwokatów pociąga za sobą zmianę profilu adwokatury, w tym m.in. sensie, że obniży się jej poziom, że zbraknie pewnych wzorów godnych naśladowania, a perspektywa zakończenia praktyki w wieku lat 70 nie będzie sprzyjać pogłębianiu wiedzy. Ponadto zanikać będzie sądowa retoryka, sztuka wymowy, oratorstwo.

Z taką tezą trudno jest się zgodzić z racji wyliczonych niżej w sześciu punktach.

1. Skutki ustawy dały o sobie znać właściwie dopiero na przełomie lat 1983/1984. A jak ów krajobraz przedstawiał się przed wydaniem krytykowanej ustawy.

Sam autor stwierdza, że młodzi nie mają czasu na głębsze, bardziej wnikliwe opracowywanie spraw, nie sięgając do lektur, i pisze to w czasie terażniejszym, a więc stwierdza istniejący stan rzeczy dotyczący okresu, kiedy ci „wybitni” działali jeszcze zawodowo i oddziaływali na środowisko młodych kolegów. Nie ma tu zatem związku przyczynowego między wcześniejszą emeryturą tych „lepszych” a poziomem tych, co zostali.